

# Ewa M. Thompson

---

## O feminizmie sceptycznie

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4/5/6 (22/23/24),  
281-284

---

1993

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Ewa M. Thompson*

## **O feminizmie sceptycznie**

Na podstawie moich lektur, obserwacji i uczestnictwa w życiu akademickim w USA wysnułam wniosek — Popperowską hipotezę — że feminizm należy zaliczyć do ideologii dwudziestego wieku, takich jak nazizm, faszyzm czy różne odmiany marksizmu. Taksonomicznie rzecz biorąc, umieściłabym feminizm w grupie ideologii marksistowskich. Ideologie dzielą świat na „naszych” i „nie naszych”, i granica między tymi dwoma światami jest nie do przebrnięcia. W nazizmie wrogiem były niższe rasy, w faszyzmie — zdegradowana i perversyjna kultura, w marksizmie — głównie kapitaliści i ta kultura, której dały początek ich interesy, a w feminizmie — totalna maskulinizacja kultury ludzi białych (bo kultura ludzi kolorowych jest apriorycznie uważana za mniej zmaskulinizowaną).

Mimo że nie wszystkie gałęzie feminizmu identyfikują się z analizą marksistowską, struktura feministycznych argumentów przypomina marksistowską. Nie chodzi tu oczywiście o teorie gospodarcze *Kapitału* czy o marksizm sowiecki. Najbliżej feminizmu leży marksizm rewizjonistyczny, oparty na „młodym Marksie”. Podobieństwa widać przede wszystkim w metodologii.

Rozumowanie marksistowskie zaczyna się od stwierdzenia, że świat jest źle zorganizowany i źle funkcjonuje (co nie jest dla nikogo nowością); następnie w sposób bezdowodowy (bo przecież „przyczynowość” typu Tomasza z Akwinu została „obalona” przez Dawida Hume’a, a empirykami marksiści też nie są) przedstawia się przyczyny tej złej sytuacji

(winna jest zła dystrybucja środków produkcji i ta kultura, którą rodzą anomalie w stanie posiadania społeczeństwa); następnie proponuje się środki zaradcze. U Marksa receptą było namówienie robotników do rewolucji; u Tkaczowa i Lenina zostało to zawężone do „awangardy klasy robotniczej”, czyli grupy intelektualistów będących tej klasy mózgiem, czyli awangardowej Partii, która miała zorganizować rewolucję. Wprawdzie Partia zorganizowała rewolucję, ale robotnicy odmówili współpracy, a upaństwowienie środków produkcji przyniosło niespodziewanie złe rezultaty. Ale od czegoś ludzka pomysłowość. Można przecież znaleźć inne dystrybucje „naszych” i „nie naszych”, „winnych” i „niewinnych”, takie jak „ludzie biali” — „ludzie kolorowi”, czy „kobiety” — „mężczyźni”. Znowś szuka się winy, którą należy skorygować nie pokutą, lecz przy pomocy reorganizacji społeczeństwa.

Feminizm zarzuca kulturze ludzi białych, że przez maskulinizację pojęć filozoficznych i psychologicznych, instytucji społecznych i religijnych, oraz przez postrzeganie świata przez męskie, czy raczej maskulinistyczne okulary, zniewala ona kobiety i prowadzi do skarlenia kultury. Podobnie jak w rewizjonistycznym marksizmie szkoły frankfurckiej, „opresorem” tu nie jest po prostu kapitalista lub mężczyźni jako tacy, lecz raczej skutki społeczne „układu świata”, a rezultatem jest alienacja, frustracja, brak możliwości rozwoju. Zaradzić temu ma radykalne obalenie judeo-greko-chrześcijańskiego systemu pojęciowego, uświadomienie sobie „seksualnego podtekstu” we wszystkich gałęziach wiedzy i życia — od matematyki, fizyki i chemii poczynając, na systemie parlamentarnym kończąc.<sup>1</sup>

Innym jeszcze elementem łączącym marksizm i feminizm jest ich dwukierunkowość, jednoczesna orientacja na teorię i strategię; pisanie artykułów i książek oraz walkę polityczną; formułowanie „zarzutów” wobec maskulinistycznej kultury białych mężczyzn oraz walka o władzę na amerykańskich uniwersytetach i w amerykańskich fundacjach kulturalnych. Jest to echo uwagi Marksa, że dość już filozofowano o świecie — teraz należy go zmienić. Nazwiska najbardziej znanych amerykańskich feministek, takich jak Annette Kolodny czy Paula Rothenberg, są również nazwiskami osób, które są głęboko zaangażowane w walkę o przekształcenie amerykańskich uniwersytetów w instytucje aktywnie zwalczające logocentryczny punkt widzenia. Annette Kolodny, były dziekan i profesor University of Arizona oraz współzałożycielka kwartalnika feministycznego „Sings”, powiedziała na niedawnym zjeździe „multikulturalistów” [*multiculturalists*], że jej celem jest przekształcenie

<sup>1</sup> Nieco szczegółowiej piszę o tym w artykule *Feminizm*, „Znaki Czasu” nr 29 (styczeń-marzec 1993) [w druku].

profesoriatu humanistyki w Stanach Zjednoczonych w ten sposób, aby jedna trzecia profesorów składała się z Murzynów i jedna trzecia z kobiet.<sup>2</sup> Według relacji jej kolegów, dziekan Kolodny aktywnie ten program wprowadzała w życie na swoim uniwersytecie, kosztem oczywiście tych naukowców, którzy akurat nie zaliczali się do żadnej z tych kategorii (przypominają się tutaj lata pięćdziesiąte w Polsce, gdy wyrzucano studentów z uniwersytetów za „pochodzenie”). Organizatorka tej olbrzymiej konferencji, Paula Rothenberg, jest profesorem filozofii i redaktorem dużego tomu *Race, Class and Gender in the United States: An Integrated Study* (Nowy York 1992). Na zorganizowanej przez siebie konferencji wyraziła ona opinię, że cywilizacja zachodnia jest olbrzymią konspiracją mającą na celu ucisk i trzymanie w ryzach kobiet, Murzynów i ludzi ubogich. Charakterystyczne jest, że feministki typu profesorów Kolodny i Rothenberg należą do klasy dobrze sytuowanej, a czasem nawet bardzo zamożnej. Niewiele jest feministek bez wykształcenia uniwersyteckiego i związanych z tym wykształceniem możliwości podjęcia względnie spokojnej, czystej, umożliwiającej długie wakacje i nie niszczącej zdrowia pracy.

Tak więc moja „Popperowska hipoteza” zdecydowanie sprzeciwia się postrzeganiu feminizmu jako kierunku czysto intelektualnego, bez planów politycznych; jeszcze jednego uniwersyteckiego „izmu” z jednej strony, a z drugiej — jako ruchu ubogich i uciskanych kobiet domagających się równouprawnienia w pracy i płacy. Tak jak marksizm, feminizm jest ideologią walczących o władzę — walczy przy pomocy książek i politykowania. Oczywiście te, które w ten sposób walczą, mogą temu zaprzeczać, ale nie należy mylić o ś w i a d c z e ń na forum publicznym z d z i a ł a n o ś c i ą na forum publicznym. Podobnie jak w marksizmie, można mówić o kręgach silniejszego i słabszego zaangażowania w feminizm. Badaczka literatury, która posługuje się paroma kategoriami myślowymi zapożyczonymi z książek czy artykułów prof. Kolodny czy Rothenberg, jest oczywiście z kręgu słabego zaangażowania, tak jak krytyk literacki, który używał kategorii marksistowskich do analiz literackich, lecz nie zajmował się działalnością polityczną. To z tych właśnie kręgów, można mieć nadzieję, wyjdą może kiedyś jakieś użyteczne różnicowania, uściślające i rafinujące nasze koncepcje płci i jej wpływu na życie artystyczne i psychologiczne. Bowiem próby seksualizacji kategorii nauk ścisłych czy życia gospodarczego, politycznego i religijnego skazane są moim zdaniem na niepowodzenie; zaś za próby wtłoczenia tych kategorii w aparat pojęciowy społeczeństwa zwykli

<sup>2</sup> L. Nannery *The New Jersey Project: An Exercise in Multicult*, „Measure” nr 117 (czerwiec 1993), s. 6.

ludzie (tzn. ludzie spoza kręgów intelektualnych) musieliby prawdopodobnie płacić cenę podobną do tej, jaką płaci się w Europie Wschodniej za eksperymenty marksistowskie.

Natomiast zupełnie poza zasięgiem feminizmu jako ideologii znajdują się te kobiety i ci mężczyźni, którzy nalegają na pełne równouprawnienie kobiet w pracy i płacy; na umożliwienie im zajmowania stanowisk szefów i na otaczanie szacunkiem ich nieodpłatnej pracy domowej. Pozowanie niektórych feministek na obrończynie uciśnionych kobiet jest moim zdaniem posunięciem czysto taktycznym. Należy tu zauważyć, że osoby zawodowo zaangażowane w działalność feministyczną lub walczące o przymusowe feministyczne kursy na uniwersytetach mało interesują się pomocą kobietom, które nie są feministkami, lecz doświadczają dyskryminacji w miejscu pracy (przypomina się bakuninowskie „im gorzej, tym lepiej”). Feministki popierają inne feministki, a nie po prostu kobiety. Na przykład kilka lat temu konserwatywny senator z Florydy, pani Paula Hawkins, startowała po raz drugi w wyborach do Senatu USA. Feministki z Florydy poparły mężczyznę, bo pani Hawkins była dla nich zbyt konserwatywna. Międzynarodowy ruch feministyczny nie popiera konserwatywnych „kobiet sukcesu”, takich jak Margaret Thatcher. Na jednym z dobrze mi znanych uniwersytetów amerykańskich ofiarą wprowadzenia programu feministycznego jako jednego z możliwych kierunków studiów stała się kobieta — wykładowca języka obcego, której etat został obcięty, by umożliwić wprowadzenie etatu dla profesora studiów feministycznych.